

PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Nr. X.

Prenum. roczna 5 zł. Październik 1928.

Rok VIII.

Cierpienie.

Nieraz patrzymy z buntem na ludzki ból. Dlaczego przeszedł?

Dlaczego ta żona kochająca, oddana, straciła swego męża?

Dlaczego innej odebrane zostało zdrowie, kiedy mając je, tak pożytecznie pracowała? Dlaczego tamtego dzielnego człowieka przedwcześnie zabrała śmierć?

Do spraw ludzkich przykładamy fałszywe kryterjum. Jesteśmy jak ludzie, którzyby z barw dostrzegali tylko jedną: gdy ona zastąpią na będzie inną, wołamy: tu jest czerń; a tu może teraz właśnie jest złoto?

Nie pamiętamy o tem, że to, co dostrzegamy ziemskimi oczyma, to jedna, bardzo niewielka płaszczyzna bytu; że minus, stworzony w życiu ziemskim kompensuje się napewno stokrotnym plusem stworzonym gdzieindziej.

Przez ból odczuty, przez chorobę cierpiący człowiek stworzył w sobie skarb stokroć cenniejszy, niżeli to dobro, któreby mógł uczynić nie cierpiąc.

Nie zawsze — powiecie; — często ból człowieka upadła.

Być może, narazie. Ale nawet w czasie tego chwilowego upadku odbywa się w człowieku pewnego rodzaju usuwanie rumowisk; coś w nim ginie, coś umiera, by na miejsce umarłych mogły powstać rzeczy piękniejsze.

Jest to obumieranie jesienne, po którym nastąpi wzejście nowego plonu. Może dopiero po odpoczynku zimowym, po śmierci? Ale napewno, choćby ból w naszych oczach wywołał tylko — gnicie, przygotowuje narodziny wyższego człowieka. A śmierć ludzi nam potrzebnych? tak bardzo nieraz potrzebnych? O jakże małej wiary jesteśmy! Przecież wierzymy w życie przyszłe, w życie, a nie w jakieś mętne bytowanie. Więc jakże przypuścić możemy, że czyny tych umarłych niedokonane tu, są stracone? Oni czynią dalej, tylko na innej płaszczyźnie bytu. A wyzwoleni z więzów ludzkich czynią napewno wspólniej, szerzej, potężniej.



Cz 2280/1928/10

306 c 19285

Miejsce ich zdawna na nich czekało i czyjeś oczekiwanie mówiło: Ach kiedyż wreszcie gotowi będą na śmierć, kiedyż przyjdą tu, gdzie ich tak braknie?

Więc nie buntujmy się przeciw cierpieniu i przeciw śmierci. Pamiętajmy, że zesał je Ten, który jest nieskończenie mądry i dobry i miłosierny. Zesał je dla czegoś i po coś. Z jakiejś przyczyny i w jakimś celu. Gdy zrozumiemy przyczynę i wypełnimy cel — odejdzie ból.

Z czasem lat potrzeba, by zrozumieć te rzeczy, tyle spraw bowiem zaciemnia nasz wzrok. Im czystiejsi będziemy, tem łatwiej zrozumiemy zamiary Stwórcy.

On chce byśmy wysiłkiem własnym dźwigali się ku niemu. Dopomaga On nam, ale za nas czynić nie będzie. Prężmy więc ramiona, skupiajmy wolę, a wtedy dopiero módlmy się o Jego pomoc.

(Z. A. Borowska).

Z życia P. Jenerałowej (mężatka) 35.

Raz zaproszono nas na obiad, do obozu Spahisów; rzadko kiedy mi się co tak podobało. Przy deserze oficerowie rozmaite bardzo dowcipne i zabawne piosnki śpiewali, a potem arabom śpiewać kazali.

Cały obiad był gotowany i podany na dworze w samym obozie.

Inny raz, zaproszono nas na rewję wojska angielskiego i na śniadanie do obozu pod Skutari. Była to rewja gwardji. Wspaniali mężczyźni!

Jest w gwardji angielskiej zwyczaj, że każdy pułk ma jakieś zwierzę, które prowadzą przed muzyką pułkową: sarnę, jelenia, słonia, żyrafę, co chcą.

W jednym z tych pułków służył kapitan Damed, syn najlepszych mego męża przyjaciół. W tym właśnie pułku mieli wspaniałego psa-Nerona.

Kapitan Damed powiedział mi, że nie chcą go zabrać ze sobą do Krymu i zapytał, czy może mi go powierzyć?

Zgodziłam się na to i któregoś dnia dwóch ogromnych grenadierów przyprowadziło mi psa. Każden trzymał go po każdej stronie łańcuchem przykutym do ogromnej obroży. Pies rozumiał, że mnie jest powierzony, na krok mnie nie odstępował; łagodny był ze mną do tego stopnia, że jak się kładł na ziemi, to ja sobie na nim siadałam

jak na ławce, a on leżał nie próbując wcale się wymknąć; ale o ile ze mną był potulny, o tyle stał się postrachem całej okolicy.

Na wszystkie strony miałam bardzo miłe stosunki, marszałkowa którą wszyscy nienawidzili za jej niegrzeczność, dla mnie była bardzo uprzejmą.

Pan Benedetti, który po wyjeździe marszałka Baraguay d' Hilliers pełnił obowiązki pełnomocnika Francji i jego żona; Pan Scheffer drogman ambasady i jego żona; lord Stratford i jego żona i córki; pierwszy sekretarz ambasady, lord Napier i jego żona, tacy dla mnie byli uprzejmi, że czasami mnie to ambarasowało. Myślałam sobie; co te kobiety wnioskować sobie będą z uprzejmości ich mężów dla mnie i nie wiedziałam jak tego unikać, a potem, pokazywało się, że żony bardziej jeszcze dla mnie uprzejmie od mężów i znowu myślałam sobie, że to tym mężom będzie chyba niemiło, że mnie ich żony tyle zaufania okazują, że się mnie zwierzają, że przychodzą do mnie, najmłodszej, po rady i t. d.

O ile wszyscy memu mężowi okazywali poważanie, o tyle mnie okazywano przyjaźni i czegoś więcej niż przyjaźni.

Zdawało się, że ludzie za mną przepadają, a nie wiadomo kto bardziej, mężczyźni czy kobiety i czy cudzoziemcy, czy Polacy.

Cała moja zasklepiona natura ogrzewała się jak jaszczurka na słońcu pod wpływem tej ogólnej życzliwości.

Przypominam sobie jak raz, wracając z moim mężem ze Stambułu do Jenikieni statkiem parowym, wiatru trochę powstało, miałam lekką letnią suknię i starałam się parasolką ją przytrzymać, żeby jej wiatr nie podnosił. Natychmiast kilku wyższych oficerów z głównego sztabu marszałka St Amand odpięli swoje pałasze i pokładli je na ziemi na mojej sukni.

Tylko oczami mego męża zapytałam czy to nie źle, uśmiechnął się i głośno odpowiedział, że bardzo dobrze.

Nie wszystko jednak było bardzo dobrze; był w sztabie marszałka jakiś oficer, powieściopisarz, który prawdopodobnie na każdym kroku szukał przygód, któreby jego repertuar odświeżać mogły.

Razu jednego odbieram list z oświadczeniem, że mój widok jego spokój i szczęście zakłócił na resztę życia! Ta tragiczna wiadomość, mocno mój spokój zakłóciła, tembardziej, że mi oświadczał że za kilka dni do Krymu odpływa, a że jeżeli zginie, to chce mieć przed śmiercią zapewnienie, że ja o nim pamiętać będę.

Zginał nieborak w istocie, zapewnienia o mojej pamięci ze sobą nie zabrał, ale nie moja w tem była zasługa i mądrość.

List jego odebrawszy, przekonana, że sprawiłam nieszczęście tego człowieka, najstraszniejsze sobie robiłam wyrzuty i o tem tylko myślałam, jak tę szkodę naprawić, jak tego „nieszczęśliwego“ człowieka przed śmiercią pocieszyć i zabrałam się list do niego pisać, polecając mu, ażeby sobie przeczytał rozdział... z Naśladowania na pociechę i na pożądaną dla niego naukę, oderwania od wszystkiego co ziemskie.

Nie wiem jakim cudem miłosierdzia bożego mój mąż wszedł do pokoju, póki stylizowałam te mądre rady i zapytał mnie co piszę.

W niemałym byłam kłopotcie; z jednej strony miałam przekonanie, że gdybym mego męża poprosiła, żeby mi pomógł w napisaniu tego listu, to on, mężczyzna, wiele lepiejby wiedział jak mężczyznę innego przekonać i pocieszyć; ale z drugiej strony, zdawało mi się, że to jakaś nieszlachetność zdradzać czyjeś zwierzenia. Myślałam sobie, że oczywiście sama temu jestem winna, że sama to wywołałam, a że teraz pójde jakby na skargę tego, com sama spowodowała.

Z mego wahania mój mąż się domyślił o co chodziło i zapytał: to ten warjat do ciebie napisał? Kazał sobie jego list pokazać i powiedział: „jeżeli ich odbierzesz więcej, powinnaś je odesłać bez otwierania; ale bądź co bądź, jedną rzecz mi przyrzeknij i tego wymagam koniecznie, że nigdy na takie listy nie odpiszesz ani słowa“. Pytam dlaczego. Odpowiedział, że każde słowo, jakiekolwiekby było i w jakiegokolwiek myśli kobieta je napisze, stanowi dla mężczyzny zachętę do dalszych zaczepk; że takiego listu, mężczyzna zawsze użyć może dla zaszkodzenia dobrej sławie kobiety, dla zemszczenia się na niej, jeżeli mu nie ulega.

Dość, że mi kazał przyrzec, że ani na ten list, ani na żaden tego rodzaju nigdy nie odpiszę.

Pytałam mego męża czy to moja wina, czem ja to wywołałam i jak takim rzeczom przeszkodzić.

Powiedział rzecz, która mi nieraz później pożyteczną była: że jak kobieta zaczyna się do mężczyzny przywiązywać, to zawsze można się o tem domysleć, bo mówi mu o nim, a że tak długo, jak mówi o sobie, to tylko kokietuje. Ale że mężczyźni przeciwnie, póki

mówią kobiecie o niej, to się tylko bawią, ale że jak zaczynają mówić o sobie, to znak, że się przywiązują i że trzeba się mieć na baczności.

Potem mówił, że niema dla kobiety bezpieczeństwa, jak w zupełnej względem męża otwartości. Ja na to: „tak, ale ty oczywiście teraz będziesz dla niego bardzo nieprzychylny“.

Tego mi się nie chciało, bo byłam bardzo przejęta tem wiecznem nieszczęściem, którego się stałam powodem.

Mój mąż mi na to odpowiedział, że jest pełnym pobbłazania na wszelkie głupstwa, których kto inny się dopuszcza, byle miał pewność, że ja żadnych nie popełnię.

I na tem stanęło, że mój mąż weźmie na siebie rolę pocieszyciela, bylebym ja się jej absolutnie wyrzekła.

Obojeśmy się sumiennie wywiązali ze swego zadania.

Prawie jednocześnie druga awantura tego samego rodzaju mi się zdarzyła.

Miedzy Polakami bawiącymi w Stambule był jeden, szczególnie zacny człowiek, którego mój mąż zaprosił na mieszkanie do nas, polecając mi, żeby starać się, aby mu dobrze było. — Po dwóch tygodniach, raptem, wyniósł się, nic nie ostrzegłszy z rzeczami i wszystkim.

Bardzo mi było przykro, że względu na mego męża i bałam się, żeby nie myślał, że nie starałam się o to, czego pragnął.

Piszę więc list pełen żalu wyrzutów. A on mi odpisuje w dwóch słowach, że pod jednym dachem ze mną nie chce mieszkać.

Okropnie się zmieszałam, nie mogąc pojąć, co mu mogłam zrobić złego.

Napisałam jeszcze raz, prosząc żeby się wytłumaczył i wrócił.

Nic nie odpisał nieborak, ale przyszedł, stanął przedemną jakby jaki winowajca i powiedział: „poszedłem sobie, bo nie mam prawa kochać, a nie mam siły się oprzeć“.

Obrócił się na pięcie i odszedł nic więcej nie mówiąc i minęło wiele miesięcy, nim go znowu spotkałam.

Okropnie mi to było bolesne. Zdawało mi się, że rodzaj zbrodni popełniłam. Istnego strachu do życia doznałam i do siebie. Niewymownie uczułam się nieszczęśliwą, że chcąc drugim dobrze czynić, same cierpienia sprawiam i w takie matnie wpadam.

Postanowiłam sobie mężczyzn unikać, jak ognia i nietylko nie przebywać z nimi w samotności, czego wcale nie robiłam, ale zupełnie ile możliwości ich unikać, ale i z tem, jak z posiadaniem psa, łatwiej postanowienia brać, niż ich dotrzymać!

Zdawało mi się, że musi we mnie być coś z gruntu złego i zepsutego, ażeby moja życzliwość, a nawet najbanalniejsza uprzejmość, wywoływała takie skutki.

A rzecz dziwna, w przyjaźni kobiet, zdawało mi się, że jest też coś jakby nadto, z czego sobie sprawy zdać zupełnie nie umiałam. Zdaje mi się dzisiaj, że to pochodziło stąd, że niezmiernie żywy udział brałam w tem, co drugich obchodziło, identyfikowałam się z cudzemi sprawami, kłopotami, radościami, jakby one były moje własne, a nawet prawdę powiedziawszy, wiele bardziej.

W czerwcu, jeżeli się nie mylę, marszałek St Amand, trzymając się zaleconej mu taktyki, posunął się znowu, żółtim krokiem trochę dalej, w kierunku Moskali. Chodziło zawsze nie o wojnę, ale o nastrojenie Moskali i przeniósł on swój sztab i całe wojsko do Warny, skąd na Dobrudży forpocztę francuskie i moskiewskie się kilka razy spotykały i potykały.

Wskutek tejże samej taktyki, marszałek i P. Benedetti działający w imię cesarza, usilnie na mego męża nalegali, żeby nic nie rozpoczynał pod względem polskiej formacji. Mawiali, „że jeżeli nie przyjdzie do wojny rzeczywistej, takiej coby mogła wpłynąć na odbudowanie Polski, to cóż pomoże polski korpus? wycieńczenie sił i nowe klęski. Przeciwnie, jeżeli do wojny przyjdzie, to rzecz oczywista, że ty w niej pierwsze miejsce mieć będziesz. Czekaj, bądź cierpliwy“ i t. p.

Swoją drogą prosił mój mąż o pozwolenie towarzyszenia sztabowi do Dobrudży, na co marszałek zezwolił „byle“ mówił „nieoficjalnie“.

Pojechał mój mąż do Warny i przypatrywał się ruchom wojska i z niemałą przyjemnością przypatrywał się pobitym pierzchającym moskiewskim patrolom.

Po odplynięciu wojsk do Krymu, mój mąż nie chciał tam z nimi jechać, mówił, że go Krym nie obchodzi i że wojna w Krymie może tylko być kosztowną i krwawą zabawką, ale że korzyści żadnych przynieść nie może. Udał się wówczas do obozu Omera Baszy tureckiego dowódcy.

Wspomnienia z dwuletniego pobytu w Zurychu.

c. d.

Dojeżdżając do Paryża, byłam wzruszona, że wreszcie zobaczę to miasto, tak nawskroś fascynujące; uprzedzono mnie „że tam... w Paryżu ogarnia ludzi jakiś szal... że tam ulica żyje...” — Irytowały mnie podobne zdania, nie mówiące właściwie nic, a odbierające pewność siebie.

Około 12-ej w nocy przyjechałam na Dworzec Wschodni. Idąc do hotelu już mogłam sobie zdać sprawę, jaki obraz przedstawia ulica Paryża o tej porze. Pokoik, gdzie się zatrzymałam był mały, lecz tak ładnie i wygodnie urządzone, że chciałabym zawsze mieszkać w podobnym.

Umieblowanie było uader skromne: łóżko, nad którym wisiał telefon, umywalka z kranami na zimną i gorącą wodę, pod oknem stół i krzesło, oraz stolik obok łóżka — szafa musiała być ścienna, bo nie pamiętam jej. Cały pokój wystłany był dywanem.

Następnego dnia po przyjeździe poszłam na Mszę św. do kościoła „La Madeleine.” Tu zapomniałam na chwilę, że jestem w obcym mieście; wogóle ile razy w podróżach moich chciałam mieć chwilę spokoju i odpoczynku, wchodziłam do kościoła. Majestat świątyni, cisza i spokój działają kojąco na człowieka i jak gdyby przenoszą wędrowca do rodzinnego kraju.

Wrażenie to spotęgowane jest jeszcze widokiem rzeźb i małowideł umysławiających znane święte postacie.

Miło pomyśleć, że w kościele nie zwraca się niczyjej uwagi swem zachowaniem się i zdradzającą cudzoziemca niepewnością. Zresztą przy szybkim tempie paryskiego życia, mniej daje się to odczuć niż w Zurychu.

Chcąc zwiedzić miasto, choć w słabych zarysach nabrać pojęcia o jego oryginalnościach, zaczęłam zwiedzać, co się dało, zaczynając od dzielnicy apasów.

Ta część miasta Paryża pociąga swoją tajemniczością, zwłaszcza wieczorem przy grze lamp elektrycznych, jaskrawo oświetlających kabarety. Szłam w towarzystwie znajomych i skorzystałam z tego i zaszliśmy do jednego z kabaretów. Tam widok tej nędzy moralnej przejął mnie do głębi. Nie zgorszenie bynajmniej opanowało mnie, lecz

uczucie prawdziwego żalu, że ludzie czerpią tu ze źródeł zatrutych coś, co może wydaje im się rozkoszą i szczęściem, a tracą tu siły i zdrowie i wynoszą ze sobą tylko niesmak i pogardę dla całego świata.

Co może najbardziej uderzyło mnie w Paryżu to kontrast wielkiej kultury i piękna obok strasznej nędzy moralnej. Zwiedzałam muzeum jedno po drugim, najdłużej zatrzymałam się w Louvre, oglądałam salę po sali, dzień prawie cały tam spędziłam.

Rzeźby były ładne, niektóre wspaniałe lecz jakoś przez pewien czas nic do mnie specjalnie nie przemówiło.

Byłam w towarzystwie pewnej francuski, która mnie oprowadzała — słyśmy wolno, gdyż moja przewodniczka chciała, bym wszystko mogła zobaczyć.

Żadna z rzeźb do mnie tak nie przemówiła jak Victoire de Samothrace.

Ta postać wznosząca się w głębi korytarza, zdawała się siły zbierać do wzlotu. Wypreżone jej mięśnie mówiły, że chce się oderwać od okrętu, na którego dziobie stała i znać było, że krótkie jej skrzydła, nie uniosą jej z łatwością, o ile wysiłkiem woli nie zdoła się unieść.

Odeszłam raz jeszcze obejrawszy się poza siebie, zanim zupełnie zniknie mi z oczu.

Galerje obrazów mijałam za szybko, by móc się wmyśleć w ich treść.

Pamiętam jeden ruch dziecka wyciągającego rączkę, by otrzymać coś z rąk babki. Pamiętam wyraz jego oczu nie widzące nic prócz przedmiotu upragnionego w tej chwili. Myśl tę spotkałam raz w nowelce Barkleya i zdało mi się, że trzeba umieć dać wtedy, gdy kto tak bardzo czego pragnie, dać wówczas, gdy o to prosi, bo i my, podobnie do dzieci, pragniemy nieraz czegoś bardzo; o ile wolno, nie trzeba odmawiać.

Panna Grzybowska, która mnie oprowadzała, zaproponowała mi zajść na obiad do tak zwanego foyer pour les jeunes filles.

Dom ten urządzony bardzo praktycznie, jest prawdziwym dobrodziejstwem dla dziewcząt nie posiadających domu rodzinnego i pozbawionych opieki. Mają one salonik, bibliotekę i bardzo porządną restaurację, gdzie usługi niema, jedynie para osób przy bufecie i kasie.

Tu obok wejścia trzeba samemu wziąć tacę, talerze i stółce, następnie przy bufecie, gdzie są już rozłożone dania na półmiskach

wybiera się co się chce; idzie się dalej, gdy się odejdzie od bufetu, przechodzi się koło stolika, przy którym kontrolują co się wzięło, dają kwit z odpowiednią ceną, nareszcie dotarłszy do wolnego stolika i posiliwszy się, stawia się tacę z brudnem naczyniem na wałkach, które są wzdłuż ściany tak przytwierdzone, że sama taca jedzie aż do miejsca, gdzie się prawdopodobnie odbywa pomywanie.

Przy wyjściu innemi drzwiami niż wejściowe, jest umieszczona kasa.

Bardzo mi się podobał ten uproszczony rodzaj organizacji: jest on wzorowany na systemie amerykańskim.

Wiadomości.

P. Julja Zaleska w czasie swego pobytu we Francji, gdzie towarzyszyła p. M. Zamoyskiej, miała sposobność do zwiedzenia kilku ciekawych rzeczy, między innemi była na wystawie polskich wyrobów ludowych w Strasburgu.

Nadesłano tam okazy z różnych stron Polski z Wileńszczyzny, z Wielkopolski, z Łowickiego oraz innych województw.

Każda okolica posłała to, co jest w niej najcharakterystyczniejszego; a więc były tam tkaniny różnego rodzaju, wycinanki, hafty, zabawki, te ostatnie zostały wszystkie zakupione jako też i kilimy, które się cieszyły ogromnem powodzeniem.

Kórnik też wystawił swoje kilimy. Ameryka chciała obstałować u p. Zamoyskiej większą ich ilość, ale takiego znacznego obstalunku nie mogły się jej warsztaty podjąć.

Prawdziwie artystycznie wykonane były lalki w strojach ludowych. Nietylko ich ubiory przedstawiono we wszystkich szczegółach jak najdokładniej, ale twarze tych lalek odpowiadały typom danej ludności.

Nasze panie podejmowane były bardzo serdecznie przez konsula polskiego p. Niedusińskiego i jego żonę, która jest francuską i miłą bardzo osobą.

Przy otwarciu wystawy wypowiedziano 3 mowy: jedną wypowiedział zastępca ambasadora Chłapowski, drugą przyjaciel Polski p. Goniot inicjator tej wystawy, trzecią konsul polski p. Niedusiński.

Celem tej wystawy było zapoznać zagranicę z ludem polskim.

Pani konsułowa zawiozła nasze panie do szkoły gospodarczej, którą prowadzą pod Strasburgiem siostry Pelczarki. Dużo trzeba tam było włożyć trudu i poświęcenia, a dziwna rzecz, że we Francji nie odczuwają potrzeby tego rodzaju szkół.

Jeden z panów, właściciel kopalni, która zajmuje w Alzacji znaczną ilość robotników, a między niemi sporo Polaków, mówił p. Zaleskiej, że sprowadził zakonnice, któreby uczyły dziewczęta szyć, gotować i różne prace gospodarcze wykonywać, ale że mało dziewcząt przychodzi.

Pan ten ma zamiar kupić pewną ilość płótna i różnych materiałów, aby starsze dziewczęta szyły sobie wyprawę i tym sposobem do nauki się zachęciły.

Jeździła też p. Zaleska do Compiègne, gdzie się odbywa na wysoką skalę hodowla kur. Mają tam dwie wylęgarnie, każda po 4.500 jaj, ogrzewane są wodą, a wentylatory są poruszane w nich elektrycznością. Chowają jedną tylko rasę leghorn i mają w chowie tej rasy cel podwójny; produkcję jaj i rozpowszechnienie rasy.

Kurniki są proste, niebardzo wielkie, okna mają obrócone do południa, dachy w jedną stronę spadziste.

Dla kurcząt, które wychodzą z maszyny jest bardzo prosta ogrzewalnia, mały żelazny piecyk, z okrągłym niskim kapturem z blachy cynkowej.

Każdemu kurczęciu wychodzącemu z jajka, przyczepiają zaraz obrączkę na nóżkę z numerem kury od której pochodzi, bo wszystkie kury mają swoje numera.

Po miesiacu przyczepiają numera na skrzydłach kurcząt. Przez 48 godzin po wyjściu z jaj nic nie dostają do jedzenia tylko sypią im na deseczkę trochę suchej ziemi lub piasku. Na trzeci dzień dostają mleko kwaśne, a potem jedzenie, dużo zielonego; zimno nie tyle im szkodzi co raczej wilgoć, trzymają jak najwięcej na powietrzu.

Nieśność kur wynosi 186 do 200 jaj rocznie. Zimową porą o 4-tej rano zapala się automatycznie w kurniku światło elektryczne, by zastąpić brak światła dziennego.

Nie zawieszają wysoko buraków lub zielonego, aby zmuszać kury do skakania, jak to się nieraz robi, bo uważają, że przez to kury nadwyrężają sobie jajniki.

Rodowód kur i kogutów jest starannie w książce zapisywany dla kontrolowania otrzymanych rezultatów. Czasem krzyżują rasy i otrzymują przez to nową rasę.

W chodowli drobiu koguty mają większe znaczenie niż kury. Na jednego koguta liczy się 10 kur. Kogut może służyć 7 do 8 lat ale po 4 lub 5 latach nie powinien mieć więcej nad 5 kur.

Podajemy wszystkie te szczegóły, bo niejedno może się przydać naszym czytelnikom mieszkającym na wsi.

Nadchodzą wiadomości od naszych młodych instruktorek, które są już na posadach. P. Genowefa Adamczakówna pojechała do Nietążkowa do szkoły gosp., która zdobyła już sobie dobrą sławę w Wielkopolsce, jako jedna z najlepiej prowadzonych szkół tego rodzaju, P. Adamczakówna prowadzi tam naukę kucharstwa,

P. Leontyna Mazurkówna jest w Tuchorzy w Wielkopolsce powiat Wolsztyn. Uczy szycia, ma porządki uczenic, dozór nad kredensem, prowadzi też sklepik szkolny, czas ma bardzo zajęty, szkoła w Tuchorzy bardzo jej się podoba.

Mamy jeszcze dwie instruktorki w nowootworzonej szkole gosp. w Witkowie pod Gnieznem, napiszemy o nich później po zwiedzeniu tej szkoły przez p. Zamoyską i p. Łyskowską, które się tam wybierają.

Kilka innych instruktoerek, odbywa obowiązującą praktykę w Zakładzie w ten sposób, że są po kilka miesięcy, odpowiedzialnymi w różnych zajęciach.

P. Helena Popławska jest na praktyce w Rabie Wyżnej, koło Chabówki, w majątku P. P. Głowińskich, gdzie prowadzony jest chów drobiu na wysoką skalę, chce się w tym kierunku specjalizować.

Odwiędził nas we wrześniu ks. biskup Sokołowski, który ilekroć jest w Zakopanem, choć na czas krótki, nigdy o nas nie zapomina.

Miał jednej niedzieli mszę św. i kazanie. Ewangelja przypadająca na tę niedzielę mówiła o uzdrowieniu opuchłego i o przestrodze danej przez Chr. P. przychodzącym na ucztę, aby nie siadali na pierwszych miejscach.

Ks. biskup bardzo pięknie tłumaczył, że ta choroba puchliny była obrazem choroby duchowej pychy, którą dotknięci byli faryzeusze i że Chr. Pan uzdrowił jedną mocą swoją, a drugą, starał się uzdrowić nauką i słowem swoim.

Mówił też, że szatan kusi pychą dusze czyste, pobożne, pobudza je do porównywania się z innemi, do wywyższania się nad innych i do ich lekceważenia. Że jak przychodzi ochota porównywania się z tymi, którzy niżej od nas stoją pod względem moralnym czy duchowym, wtedy zamiast patrzeć w dół, patrzeć trzeba w górę na tych co są cnotliwsi od nas, na świętych pańskich, a wtedy przekonamy się jak nam daleko do ich cnoty i doskonałości.

Ks. biskup rozdał nam obrazki wydane przez episkopat polski przedstawiające kardynała i biskupa warmińskiego Hozjusza zmarłego 1579 r. w 76 roku życia. Niemcy chcą się do niego przyznać, ale biskupi polscy uchwalili wszcząć staranie o jego beatyfikację na mocy wielkich zasług jakie położył w obronie wiary katolickiej i świętości jego życia.

Na tych obrazkach zdjętych z unji lubelskiej Matejki jest modlitwa.

Wszchemogący, wieczny Boże, z którego woli świątobliwy sługa Twój kardynał Stanisław Hozjusz, skutecznie o jedność Kościoła Bożego walczył, daj ją i dzisiaj znękanemu rozterkami religijnymi światu; spraw również, aby i wśród Polaków panowały zawsze przykładnie zgoda, miłość wajemna i pokój.

Boże najlepszy! spraw, aby dzień beatyfikacji świątobliwego sługi Twego Hozjusza stał się bliskim. Niech go przyspieszą Twoje cuda i łaski, które uczyni za przyczyną Hozjusza!

Hozjuszu! obrońco Kościoła w Polsce, pamiętaj o Kościele polskim. Amen.

Ks. biskup Sokołowski prosił o modlitwę na intencję tej beatyfikacji.

Śluby.

Panna Teresa Jętkiewiczówna wyszła za mąż za pana Rząd-kowskiego. Ślub ich odbył się w Warszawie d. 30/VIII. b. r. o 5-tej po południu w kościele Karmelitów na Krak. Przedmieściu.

Panna Helena Stanawska wyszła za pana Dr. Józefa Heczkę. Obrzęd ślubny odbył się d. 27/IX b. r. w Trzyńcu na Śląsku czeskim o godz. 1/2 5-tej po południu w kościele ewangelickim.

Panna Janina Kaźmierczakówna wyszła za Dr. med. p. Stanisława Sroczyńskiego. Obrzęd ślubny odbył się w kościele parafjalnym w Płonkowie d. 2/X b. r.

Intencja.

Modlitwa za katolików prześladowanych w Bolszewji i Meksyku.

Praktyka.

Odwiedzanie N. Sakr. w celu wynagrodzenia zniewag, których doznaje od obojętnych i niewdzięcznych.

